

Romantyk marksizmu

*Kontynuacje*¹. Ten tytuł jest bardzo adekwatny i wymowny. Jakoż słowo to najwłaściwiej chyba oddaje całą swoistość charakteru filozoficznej publicystyki i eseistyki Jana Strzeleckiego, zebranej i poniekąd na nowo przypomnianej w niewielkim tomiku PIW-u. Liczba mnoga tytułowego rzeczownika jest tu jakby skrótowym znakiem wielorakości i różnorodności tematycznej, a także chronologicznej, tych kilkunastu artykułów. Jedne z nich pisane były jeszcze w konspiracyjnych warunkach lat okupacji; inne powstały w pierwszych latach po wojnie, w burzliwym czasie socjalistycznej rewolucji społecznej i kulturalnej w naszym kraju; jeszcze inne, oddzielone od tamtych znamiennym okresem milczenia, pochodzą już z ostatniego, popaździernikowego rozdziału naszej historii. Równie silnie są one też zróżnicowane i w treści, a nawet w formie. Obok na poły dziennikarskich reportaży i obserwacji socjologicznych są tu ambitnie filozofujące rozprawy; obok recenzji i szkiców krytycznych — wielotorowe refleksje nad kształtem współczesnego marksizmu; obok programowych manifestów i polemik o pryncypia — wspomnienia o nieobecnym już, a bliskim i szanowanym człowieku.

Ale w całej tej różnorodności czasów, spraw i sposobów ich przedstawiania jest przecież u Strzeleckiego

¹ Jan Strzelecki: *Kontynuacje*. Wybór artykułów, Warszawa 1969.

pewna zasadnicza jedność, która ten zbiór tekstów pozornie rozproszonych i urywkowych scala więzią „kontynuacji” właśnie — a więc ciągłości w naczelnych intencjach i celach, a więc wytrwałego powracania do tych samych pytań i wartości. Sam autor określa to najtrafniej jako „... względnie uporczywy kierunek wartościowania, przejawiający się w ujęciach różnorodnego tematycznie materiału” (s. 223). I w istocie, ta uporczywość poszukiwań i ocen nadaje książce sens wyjątkowo przejrzysty i spójny.

Gdyby chcieć najzwyczajniej nazwać te wartości naczelne, ku którym myśl autora tak niestrudzenie powraca od lat z górą dwudziestu, można by sięgnąć do formuł dość obiegowych. Humanizm socjalistyczny, twórczy marksizm, światopogląd socjalistycznego zaangażowania — oto garść nasuwających się określeń. Wszystkie one byłyby trafne; ale zarazem trafne tylko w tej mierze, w jakiej określają nie gotową jakąś doktrynę, lecz żywą treść konkretnych afirmacji, postaw i działań ludzkiego życia. Chciałoby się rzec, że w eseistyce Strzeleckiego wszystkie wartości są uczłowieczone; że więc nie abstrakcyjna i ponadludzka wartość jest tu miarą człowieka, lecz przeciwnie — żywy człowiek i jego intelektualno-emocjonalne zaangażowanie stanowi jedyną miarę każdej wartości.

Także dla socjalizmu. Marksizm, który refleksje Strzeleckiego tak wytrwale „kontynuuje”, to osobliwie antropocentryczny marksizm troski o żywego człowieka i ufnej wiary w niewyczerpanie kreatywną urodzajność ludzkiej natury. Idzie więc w tej książce zawsze o „arcyludzki rodowód socjalizmu”: o przesycenie marksowskiej teorii i ideologii treścią humanistyczną, moralną. Takie jest marksistowskie credo autora, które nie uległo zmianie od lat z górą dwudziestu: „... to wszystko, co jest wielkie i trwałe u Marksa, czerpie swą siłę z troski o konkretnego w historii — nie w abstrakcji — żyjącego

i rozwijającego się człowieka. Marks był wielkim moralistą” (s. 26).

Ale także — i właśnie dlatego — jest to marksizm niepokoju i krytyki, niezmiernie uwrażliwiony na wszelkie objawy wyobcowania żywych wartości ludzkich i zastępowania ich przez martwy odczłowieczający schemat. Marksizm ten ostro przeciwstawia się zwłaszcza wszelkim objawom „myślenia wielkimi blokami” — owej najczęściej spotykanej i najbardziej groźnej wulgaryzacji materializmu historycznego, dla której człowiek zawsze jest tylko biernym wytworem bezosobowej Historii czy też ślepym narzędziem w jej wszechmocnych dłoniach.

Stąd bierze się ów charakterystyczny zespół przyświadczeń i sprzeciwów, który w książce Strzeleckiego jest niewątpliwie wątkiem prowadzącym. Nie uciekając przed historią „wielką” — tą mierzoną makrospołecznymi prawidłowościami przemian w gospodarce, polityce, technologii czy organizacji społeczeństw — książka ta broni zarazem historii „małej” — tej przeżytej i przeżywanej w jednostkowych świadomościach ludzkich mikrohistorii postaw i wyborów, uczuć i namiętności konkretnego człowieka, które są ostatecznie niesprowadzalne do żadnych mechanizmów czy sił „obiektywnych”. Nie lekceważąc zewnętrznych, historyczno-społecznych determinacji ludzkiego życia, przywraca ona zarazem pełną godność tej subiektywnie ludzkiej sferze wolności, wyboru i odpowiedzialności, sferze twórczej samo-realizacji człowieka. Broni wielorakości i bogactwa „ludzi” przed bezdusznym monolitem „kategorii”; zwalcza abstrakcyjną dychotomię podziału na „swoich” i „obcych”, raczej poszukując w tym, co różnorodne, konkretnej wspólnoty światopoglądów, postaw i dążeń; troskliwie zabiega o ustanowienie właściwej relacji między aksjologią a technologią, między moralnym porządkiem celów a pragmatyczną sferą środków.

Jednakże marksizm Strzeleckiego zasługuje na uwagę nie tylko ze względu na ten swój humanistyczny i antropocentryczny patos. Wart jest on także namysłu jako szczególnie fenomen historyczno-kulturalny, którego duchowe i emocjonalne przesłanki związane są jak najściślej z najnowszą historią naszego kraju. Można powiedzieć, że w książkę Strzeleckiego wpisała się — i to wyjątkowo pięknie — genealogia myśli i uczuć całego pokolenia. A było to owo tragiczne pokolenie, które dojrzało w obliczu hitlerowskiego piekła — „... w czasie wyjątkowego kryzysu europejskiej cywilizacji, w którym zagrożenie podstaw biologicznego istnienia narodowej społeczności łączyło się z zagrożeniem najcenniejszych wartości kulturalnego dziedzictwa ludzkiego gatunku” (s. 223); pokolenie, które młodość swą przeżyło na tym „dnie historii”, gdzie sataniczna perspektywa totalnej zagłady zrównoważyła wszystkie wartości i cele dotąd niewspółmierne, gdzie prawda intelektualna, społeczno-moralna sprawiedliwość i biologiczne istnienie zeszły się w niespotykanej dotąd, drastycznie elementarnej jedni.

Tu właśnie tkwią korzenie owego „mitu”, jakim żyło całe to pokolenie, owej emocjonalnej i myślowej symboliki wspólnych mu wartości. Symbolika ta wyrastała — by znów użyć słów autora — „... z braterstwa zawiązanego na dnie historii, u schyłku mieszczańskiej epoki, wobec triumfów rewolucji nihilizmu, w walce o ład ludzki i sprawiedliwy” (s. 122). Tak to w świadomości pokolenia stopiły się w jedno hasła i symbole zaczerpnięte z postępowych tradycji lewicy intelektualnej dwudziestolecia oraz ideały społeczne ruchu socjalistycznego i komunistycznego. Racje zeszły się z uczuciami, prawdy nauki i polityki z prawdami etyki i religii, mądrość z ofiarnością i braterstwem. Wymóg bezwzględnej solidarności i wspólnoty w walce z ucieleśnianym przez faszyzm złem absolutnym stał się potrzebą wręcz biolo-

giczną, prowadząc do niebywałego zatarcia politycznych odrębności i subtelnych niuansów doktrynalnych. W tych warunkach socjalizm stawał się humanizmem *tout court*, afirmacją człowieczeństwa w walce z tym, co nieludzkie. I to afirmacją totalną, bo dokonywaną każdorazowo w walce na śmierć i życie, a więc wybieraną zawsze ostatecznie i zawsze na serio. Stąd też w owych czasach poczucie osobistej ważności każdego pojedynczego indywiduum nasilone było do niezwyčajnego stopnia, ludzkie zaś postawy i działania przesycone potężnym ładunkiem motywacji emocjonalno-afektywnej.

W pierwszych latach po wojnie ten osobliwy klimat pokoleniowego „mitu” zetknął się bezpośrednio z „ortodoksyjną” tradycją marksistowską, znacząc w rozwoju polskiego marksizmu trwały, wzbogacający ślad, który tylko częściowo zdołano zatrzeć w okresie stalinowskiego dogmatyzmu. Na tym właśnie styku zrodziła się ta oryginalna formacja duchowa, którą eseistyka Strzeleckiego reprezentuje w sposób szczególnie adekwatny i pełny, a którą można by nazwać marksizmem romantycznym. Generalnie rzecz biorąc, swoistość tej formacji polega na tym, że tradycyjnie racjonalny schemat podstawowych pojęć i kategorii marksizmu zabarwia ona żywą treścią emotywną, eksponując na pierwszy plan wartości z porządku „serca”, uczucia, woli. Jest to więc szczególny „emotywizm”, przejawiający się w zafascynowaniu wartościotwórczą potencją tych sił człowieczeństwa, które nie dają się w pełni zracjonalizować, które wymykają się dyskursowi i pojęciowej formule.

U Strzeleckiego wyraźnie zarysowuje się taki typowo „romantyczny” krąg wartości, ześrodkowany wokół symboli tego rodzaju, co miłość, braterstwo, twórczość, wiara, samopoświęcenie, nadzieja. W tym kręgu także tradycyjne ideały socjalizmu — równość, sprawiedliwość społeczna, pełny rozkwit osobowości — artykułują się na sposób „romantyczny”, jako żarliwe akty ludz-

kich przyświadczeń, jako subiektywnie udramatyzowane przeżycia i emocje człowieka, jako „... pewien projekt, myśl o rzeczy przyszłej, kształt nadziei, mit” (s. 122). Idzie tu więc o pełne zaangażowanie wolicjonalne i uczuciowe, nie poddające się racjonalizacji, silnie zbliżone do świadomości typu religijnego. Nie bójmy się tego słowa. To tak wyrazne u Strzeleckiego zbliżenie marksizmu z religią jest szokujące tylko na pierwszy rzut oka. Idzie tu bowiem o religijność jedynie w sensie struktury subiektywnego przeżycia ludzkiego, a więc o typ uczestnictwa człowieka w wartościach, o sposób przejawiania się jego „troski ostatecznej” — nie zaś o jakiegokolwiek więzi instytucjonalno-wyznaniowe; idzie o wspólną istotę wszystkich autentycznych humanizmów — tych z Bogiem i tych bez Boga. Nie darmo tak silnie podkreśla Strzelecki ścisłą zbieżność swojej wizji marksizmu z lewicowymi, antydogmatycznymi nurtami współczesnej myśli chrześcijańskiej (personalizm Mouniera); nie darmo też tak wyraźnie ujawnia swą sympatię dla panreligijnej filozofii miłości Ericha Fromma, łączącej wszystkie „humanistyczne religie” — zarówno teistyczne, jak ateistyczne — we wspólnym froncie obrony najwyższych wartości ludzkich przeciw wyalienowanemu „religiom autorytatywnym”. I chyba nie będzie to interpretacyjne nadużycie, jeśli się powie, iż dla Strzeleckiego marksizm czy też socjalistyczny humanizm ma być jedną — szczególnie cenną i uprzywilejowaną — z takich „prawdziwych religii”: ma być świeckim mitem, laicką wizją transcendencji, symbolicznym kształtem „ostatecznej troski” człowieka i kierunku jego wartościotwórczych zaangażowań moralno-emocjonalnych.

Jeśli pozwoliłem sobie wyodrębnić i nieco wyjaskrawić tę „romantyczną” stylizację marksizmu, a także określić ją klasyfikującym przymiotnikiem, to nade wszystko z tej racji, że sam odczuwam wobec niej zna-

czny dystans. Nie należę do okupacyjnego pokolenia ocalkowanych. Uczyłem się marksizmu znacznie później, w innych warunkach, od innych ludzi i z innych książek. Zgoła inne też cenię sobie w nim najistotniejsze treści i wartości: racjonalność raczej niż emocjonalność, funkcję poznawczą i organizatorską w skali ogólnospołecznej raczej niż mitotwórczy etos indywidualnego przeżycia. Marksizm i sprawę socjalizmu przywykłem łączyć raczej z heglowskim uniwersalizmem „rozumu” niż z „religiami miłości” Bergsona czy Fromma. Przywykłem widzieć w swym światopoglądzie raczej żmudny, wieidotwórczy i kulturotwórczy trud dyskursu, stopniowo racjonalizujący życie społeczne i historię w coraz bardziej przejrzystych i pełnych formułach pojęciowych; trud pracy, samowiedzy i refleksji, którego nie zastąpi ani nie uzbyteczni żaden bezpośredni, subiektywny uczuciowy akt z porządku wiary, nadziei i miłości. Być może nazwie to ktoś dehumanizacją marksizmu i odczłowieczeniem filozofii. Ale miłość nie jest cnotą filozoficzną i jako kategoria teoretyczna jest niezmiernie „mało pożywna” — by użyć tych samych słów Putramenta, które Strzelecki przywołuje w nieco innym kontekście. Sądzę, iż współczesny marksizm potrzebuje dziś bardziej Logosu niż Erosa; potrzebuje nie moralistyczno-emotywniej liryki braterstwa i miłości, lecz całkiem nielirycznej filozofii: głębokiej refleksji teoretyczno-krytycznej, zdolnej uchwycić i współtworzyć niełatwy sens coraz bogatszej, coraz bardziej złożonej rzeczywistości społeczno-historycznej dnia dzisiejszego.

Ale książka Strzeleckiego — tego najciekawszego romantyka w polskim marksizmie — broni się przecież znakomicie także i z tej strony, co szczególnie korzystnie wyróżnia ją wśród całej intelektualnej produkcji tego pokolenia. Albowiem typowe dla całej tej formacji wątki „emotywistyczne” współistnieją tu wyjątkowo szczęśliwie i harmonijnie z najlepszymi tradycjami racjona-

listycznego patosu i intelektualnego rygoryzmu polskiej kultury umysłowej XX wieku. Socjolog i teoretyk kultury, uczeń Stanisława Ossowskiego i spadkobierca krytycznej tradycji lwowsko-warszawskiego pozytywizmu, adept Znanieckiego, Maxa Webera i Mannheima — jest Strzelecki przede wszystkim uczonym w pełnym, autentycznym sensie tego słowa: jest wnikliwym obserwatorem i analitykiem centralnej problematyki społecznej naszych czasów, poczuwającym się do intelektualnej i moralnej odpowiedzialności za aktualny sens teraźniejszości i za możliwy kształt przyszłości. I w tym kontekście — w kontekście ambitnej i głębokiej refleksji teoretyka — ładunek „romantycznego” emotywizmu nie tylko nie zakłóca racjonalnej perspektywy poznawczej, lecz nawet okazuje się być jej niezmiernie korzystnym wzbogaceniem: otwiera i uwrażliwia poznanie na rzeczywisty konkret, wyposaża myślenie pojęciowe w żywą treść i nadaje mu niezbędną giętkość krytyczną.

Potrzeba nam więcej takich „kontynuacji”. Więcej postaw tak głęboko humanistycznych, pokładających w człowieku nadzieję tak żarliwą i tak mocno wyczułonych na wszelkie groźby odczłowieczenia; więcej myśli tak prawych i rzetelnych naukowo swym intelektualnym rozmachem i swą odpowiedzialnością za prawdę, a zarazem tak autentycznie marksistowskich przez swą nieufność wobec wszelkich skostniałych schematów i prawd rzekomo absolutnych, przez swą chłoną otwartość na wszystko, co rzeczywiste, żywe, konkretne.